Świat Młodych

GAZETA HARCERSKA

Nr 66 (1640) Warszawa, piątek, 18 sierpnia 1967 r. Cena 50 gr

INKOWIE NA ZAMKU W NIEDZICY?

TAJEMNICA OŁOWIANEGO POJEMNIKA

Pod progiem tej właśnie żelaznej bramy znaleziono w 1946 roku ołowiany pojemnik, z którego wydobyto trzy pęki sznurków z niezliczoną ilością węzełków, stanowiące tzw. pismo peruwiańskich Inków — kipu.

...Znam Andrzeja Benesza. Dawno go już nie widziałem, ale mówiono mi, że mieszka w Gdańsku. To właśnie dzięki niemu odnaleziono na naszym zamku ołowiany pojemnik, zawierający największą chyba tajemnicę Inków!

Byłem przy tym sensacyjnym odkryciu i widziałem pojemnik na własne oczy. Jak wyglądał? Taka zwykła okrągła rurka zaklepana na koń-

C. d. na str. 4

SAMI zakopaliśmy SKARB

Na początku serdecznie was pozdrowiam. Mieszkam w Toruniu. Prenumeruję „Świat Młodych" i czytam każdy numer ze skarbem. Ponieważ wiem, że nie zakopiecie już skarbu w Toruniu, poszliśmy w ślad za redakcją. Złożyliśmy się i kupiliśmy: dwie piłki gumowe, sześć proporczyków harcerskich oraz kilka herbów miasta. Zakopaliśmy to w parku, ustaliliśmy plan i podaliśmy go dzieciom z ulicy. Oczywiście, miejsce skarbu znało tylko 4 chłopców. Oni skarbu nie szukali. Skarb znalazł Leszek Kryszak. Stał się on jego własnością, a jedna z piłek stała się wspólną własnością i gramy nią w różne gry. Tego rodzaju zabaw urządzamy dużo. Konstruujemy też wspólnie różne modele samolotów, podwodnych łodzi. Urządzamy zawody strzeleckie i piłkarskie. Organizujemy zabawy. Bardzo miło i wesoło spędzamy wakacje. Prosilibyśmy o wydrukowanie listu w „Świecie Młodych". Pragnelibyśmy, aby inni brali z nas przykład.

Na tym kończę:

Wiesław Makaruk oraz dzieci z Torunia z ulicy Błękitnej:

Leszek Kryszak, Ewa Wardolińska, Witold Wiśniewski, Danuta Babul, Gerard Wiśniewski, Danuta Makaruk, Ryszard Kaliszewski.

To jest właśnie pan Henryk Holweg

dwaj na krupie

Rozdział XXI

Kto napisze o zwykłych ludziach?

TY stale szukasz czegoś niezwykłego — powiedział Andrzej. — Interesują cię tylko ludzie wyjątkowi, tacy, którzy coś niezwykłego przeżyli. A o zwykłych ludziach kto napisze?

— Każdy jest niezwykły — odpowiedziałem. — Ktoś bardzo mądry powiedział, że każdy człowiek mógłby napisać jedną książkę, opisać w niej tylko swoje życie i byłaby to książka pasjonująca.

— No właśnie — mówi na to Andrzej. — Tylko, dziennikarze i pisarze wybierają sobie temat. A jak sobie wybierają, to w ten sposób, żeby było w nim coś, czego nikt jeszcze nie opisał. Właśnie coś wyjątkowego. Przyjeżdżają do jakiegoś miasta, chodzą, pytają, szperają po bibliotekach. Albo już wcześniej wyszperali i przyjeżdżają na gotowe. A spróbuj napisać o pierwszym lepszym spotkanym na drodze człowieku! O zwykłym człowieku, o którym nikt ci wcześniej nie nagopowiadał, że np. był w Afryce, albo dokonał czegoś niezwykłego w czasie wojny, albo buduje u siebie w piwnicy rakietę kosmiczną...

— Wiesz co? — mówię. — Zrobimy tak: dobijemy do najbliższego miasta, jakie mamy przed sobą, napiszemy o pierwszym napotkanym na brzegu człowieku.

— O to mi chodziło! — odpowiada Andrzej i zerka do przewodnika po Wiśle. Przed nami na 877 kilometrze miasteczko Gniew. Kim będzie pierwszy napotkany tam człowiek?

Rozdział XXII

Człowiek w czarnej koszuli

NA brzegu w Gniewie dość duży ruch. Jest tutaj prom, którym przewozi się na drugą stronę rzeki ludzi, zaprzęgi konne, samochody, motocykle. Jeden z motocykli, które przyjechały z drugiej strony, nie chce zapalić, zbiera się kilka osób, radzą, co robić.

— Co tu radzić — mówi jakiś mężczyzna w czarnej koszuli. — Trzeba popchnąć, wtedy się zobaczy!

Andrzej, kiedy widzi motocykl, zapomina o wszystkim. Wychodzi z łodzi i obaj z człowiekiem w koszuli pchają. Motocykl rusza, kierowca kiwa ręką na pożegnanie, gapie się rozchodzą.

Zostajemy w trójkę. Przedstawiamy się. Człowiek w czarnej koszuli mówi:

— Co o mnie można napisać ciekawego? Pewnie nic, pracuję tu od wielu lat, mam dom, żonę, dzieci — tak jak wielu.

— A gdzie pan pracuje?

— Mam niewielki zakładzik ślusarski, naprawiam zamki, dorabiam klucze, reperuję motocykle, samochody. Bo wiecie panowie, zawsze mnie interesowały różne mechanizmy. Ojciec był zegarmistrzem...

— Wyobrażamy sobie, co się działo w pracowni!

— Miałem chyba z pięć lat, kiedy rozebrałem pierwszy zegarek klienta! Oczywiście w tajemnicy przed ojcem. Skończyło się straszliwą awanturą, po której zabroniono mi dotykać wszystkiego, co tylko się da. Ja tylko siedziałem i przysłuchiwałem się.

W czasie tej rozmowy wyszło na jaw, że pan Henryk Holweg — mistrz ślusarski „człowiek w czarnej koszuli", jak go sobie nazwaliśmy, ma na swoim koncie przeszło sto zgłoszonych wynalazków i projektów racjonalizatorskich! Pracował w Gniewskiej Fabryce Maszyn przez 13 lat, pod koniec jako zastępca szefa produkcji. Jest wielokrotnie odznaczony, ma odznaki przodownika pracy, zasłużonego racjonalizatora produkcji, posiada Srebrny Krzyż Zasługi.

Lata też na szybowcach, jako szybownik klasy B, zbiera śmigła samolotowe (hobby o jakim chyba jeszcze nikt nie słyszał), a kiedy ma chwilę czasu robi w domu redukcyjne modele samolotów z aluminium. Ale to wszystko mało. Pan Henryk odkrył niedawno w swoim ogrodzie... podziemne wejście do labiryntu ogromnych lochów leżących pod zamkiem gniewskim! Zwiedziliśmy te lochy razem z panem Jarosławem Piotrowskim, kierownikiem Zakładu Gospodarki Mieszkaniowej w Gniewie. Władze miejscowe myślą już o wykorzystaniu podziemi, które są w doskonałym stanie. Może zrobi się tam składy, a może otworzy kawiarnię?

Jeden człowiek spotkany przypadkowo, a tyle różnych spraw i niezwykłych zdarzeń. Mijają nas tacy ludzie na zatłoczonych ulicach i nie zwracamy na nich uwagi. Z daleka wszyscy są jednakowi, niecekawi. Ale wystarczy poznać kogoś bliżej, porozmawiać z nim i okazuje się nagle, że ten „zwykły człowiek" ma tyle do powiedzenia, że można by słuchać cały dzień.

Takie spotkania to nauczka dla wszystkich tych, którzy się uważają za „pępek świata", nauczka, którą warto zapamiętać.

Cdn.

Tekst i zdjęcia:
J. DĄBROWSKI

Pod zamkiem pochodzącym z XVI wieku jest zapewne jeszcze wiele nie znanych lochów. Część z nich odkrył pan Holweg, o którym piszemy obok

WAKACJE w autobusie

W czasie wakacji mieszka się w namiocie, w domku campingowym, szkole zamienionej na kolonijne sypialnie, albo szałasie zbudowanym w pobliskim lesie, własnym ogrodzie lub sadzie.

Wacek Bentkowski mieszka w... autobusie. I to nie zwyczajnym autobusie, jakim odbywa się podróże, lecz autobusie, którego wnętrze się zwiedza, jest w nim bowiem urządzona wystawa, poświęcona przyrodzie ziemi mazurskiej.

Foto: A. Grzybowiecka

Wędrującą wystawę zwiedziło wielu mieszkańców województw sąsiadujących z woj. olsztyńskim, obecnie autobus ulokował się na dłuższy postój w Parku Etnograficznym w Olsztynku. Tu właśnie spotkaliśmy Wacka, przyjechał z Rzeszowa na wakacje do starszego brata — studenta Wyższej Szkoły Rolniczej z Olsztyna, który opiekuje się wystawą.

Wacek bardzo sobie chwali wakacje w autobusie, tym bardziej, że przy okazji dokładnie zapoznał się z zabytkami, znajdującymi się na terenie Parku Etnograficznego. (AG)

MOJE WYMARZONE WAKACJE

Księżycowi przyjaciele

NARESZCIE wystartowaliśmy. Dwie godziny musieliśmy czekać na start, gdyż w urządzeniu startującym nastąpiła jakaś nieznaczna awaria. Lecimy na Księżyc, aby tam spędzić miesiąc wakacji. Po upływie paru godzin jesteśmy na miejscu. Zabudowania na Srebrnym Globie zrobiły na mnie oszałamiające wrażenie. Domy miały kształt olbrzymich kopuł, zrobionych ze szkła. Nigdzie nie można tu spotkać drzew, ani traw. Cała powierzchnia zlewa się w jeden srebrno-szary kolor. Zaraz po przybyciu udaliśmy się do jednej z tych olbrzymich kopuł — jadalni. Była to bardzo dziwna jadalnia. Znajdowało się tam szereg rozmaitych automatów. Podeszłam do jednego z nich i nacisnęłam guziczek. Z okrągłego otworka wypadła pigułka po połknięciu której miało się wrażenie, że zjadło się talerz zupy owocowej. Poczułam pragnienie, więc podeszłam do automatu znajdującego się w końcu sali i po naciśnięciu odpowiedniego guziczka wysunęła się szklanka z sokiem cytrynowym.

Następnego dnia wszyscy udaliśmy się do pobliskiej osady zamieszkanej przez księżycowych mieszkańców. Ci nie byli zdziwieni naszym widokiem, gdyż już od kilku lat Ziemianie spędzają wakacje na Srebrnym Globie. Wszyscy mieszkańcy od najmłodszych do najstarszych ubrani byli w srebrne kombinezony. Nie znają oni ubiorów Ziemian. Dziwny jest tutaj również system nauczania. Dzieci chodzą do szkoły tylko raz w tygodniu, a pod koniec każdego miesiąca zdają egzaminy. Egzaminatorami są tutaj Roboty, które prowadzą również wykłady. Dzieci nie prowadzą zeszytów, nie posiadają również książek, za to dużo muszą uczyć się na pamięć. Zapoznałam się z jedną dziewczynką, której przyrzekłam napisać z Ziemi list. Wieczory spędzałam przeważnie przed ekranem telewizora, gdyż wtedy nadawane były audycje z Ziemi. Po upływie miesiąca wróciłam na Ziemię. Właśnie zaraz napiszę list i wyślę do przyjaciół na Księżyc. (rj)

Danuta Glogaza

Ruda Śl.

Tegoroczne wakacje spędziłam na Mazurach, gdzie było bardzo dużo turystów, którzy zwiedzali rozmaite zakątki i zabytki. Zakątki były na ogół malownicze, zabytki z różnych epok, a turyści zupełnie tak samo. I muszę się wam przyznać, że w tym czasie, kiedy turyści zwiedzali te zakątki i zabytki, ja zwiedzałam głównie turystów. Bo po pierwsze zwiedzanie jest teraz niesłychanie modne, jako że mamy rok turystyki, a po drugie — uważam, że nie ma nic bardziej pasjonującego i pouczającego, niż człowiek.

A ponieważ nie miałam aparatu fotograficznego i nie mogłam uwiecznić zwiedzanych przez siebie obiektów na kliszy, uwieczniłam je długopisem na papierze.

Obiekt pierwszy— turystka malownicza

Była bardziej malownicza niż wszystkie mazurskie jeziora razem wzięte. Jej powieki miały kolor błękitnego nieba, rzęsy przypominały nóżki polnego konika, usta były pokryte szminką w kolorze niedojrzałej poziomki, a cera dzięki warstwie pudrokremu była złota jak żywica sosen. Chociaż mieszkała w namiocie nad jeziorem, nie miała czasu na podziwianie widoków, bo niemal bez przerwy zerkała w lusterko. Mimo bliskości wody kąpała się tylko raz i to wcale nie dobrowolnie. Po prostu jej starszy brat, korzystając z pomocy kolegów, namydlił ją i wypucował w jeziorze. Kiedy wyszła z wody, była jeszcze bardziej malownicza niż zwykle. Zielony tusz rozmazany z pudrokremem i niebieską szminką do powiek przypominał obrazy abstrakcjonistów. Ale chłopcy z jej otoczenia byli widocznie zupełnie nieczuli na dzieła sztuki. I wyśmiewali się z niej jeszcze bardziej niż zwykle.

Obiekt drugi— turysta w ruinie

Kiedy go zobaczyłam, zwiedzał akurat ruiny XVI-wiecznego zamku. No cóż — XVI-wieczny zamek ma prawo być w ruinie, ale 16-letni turysta? A on nie miał więcej niż 16 lat. Na wiatrówce miał pełno jakichś zacieków, spodnie obszarpane, włosy nie myte, nie strzyżone, paznokcie — lepiej mi nie przypominajcie! Kiedy otworzył plecak, zobaczyłam skarpetki obok pomidorów i wędzone rybki zawinięte w spodenki kąpielowe. Mydła i szczoteczki do zębów nie miał w ogóle i bardzo się dziwił, dlaczego żaden kierowca nie chce go wozić autostopem i dlaczego na zabawie w Mikołajkach żadna dziewczyna nie chciała z nim tańczyć.

Obiekt trzeci— turysta rozrywkowy

Sam jeden zastępował z powodzeniem wszystkie urządzenia wesołego miasteczka. Przez cały dzień kręcił się jak karuzela dookoła pola campingowego z tranzystorem nastawionym na cały regulator. Dzięki systematycznemu wpuszczaniu żab i pająków do namiotów, zajmowanych przez dziewczęta, zamieniał te namioty w beczki śmiechu. A miny robił przy tym takie, że nawet w gabinecie krzywych luster głupszych nie można zobaczyć. W czasie kąpieli do jego stałego repertuaru należało udawanie topielca, a wieczorem ubierał się w prześcieradło i przeraźliwie rycząc udawał ducha. Zupełnie przy tym nie rozumiał, dlaczego po paru dniach wspólnego biwakowania wszyscy znajomi zaczęli udawać, że go nie znają.

Obiekt czwarty...

...Ja bym tak mogła wyliczać w nieskończoność, bo naprawdę bardzo wielu turystów zwiedziłam w czasie tegorocznych wakacji, ale myślę, że może już wystarczy. Bo jeśli te opisane przeze mnie „obiekty" przypomną sobie moją skromną osobę i zasiądą do zespołowego nakreślenia mego wakacyjnego portfelu to rodzona redakcja mnie chyba nie pozna!

KAROLINKA

Widok ogólny zamku w Niedzicy.

TAJEMNICA otwieranego pojemnika

Cd. ze str. 1

cach i zalutowana ołowiem. Myślałem, że w środku będzie coś wartościowego — złoto albo ważne dokumenty. Pojemnik udało się otworzyć, „Okazało się wtedy, że w środku były... sznurki. Trzy pęki sznurów z niezliczoną ilością... węzełków. Chciało mi się śmiać! Zamiast złota — sznurki z węzełkami!...

Oprócz mnie świadkami tego odkrycia byli również leśnicy — Franciszek Szlachta i Stanisław Gołab — oraz sołtys wsi Niedzica, Józef Pukański. I oni byli rozweseleni...

Wtedy pan Andrzej Benesz spojrzał na nas i powiedział z przejęciem:

— Panowie! Dokonaliśmy wielkiego odkrycia. Te sznurki z węzełkami — to pismo peruwiańskich Inków, zwane kipu. Gdyby można je rozszyfrować, świat dowiedziałby się o ważnej tajemnicy. Hiszpańscy konkwistadorzy, którzy przed wiekami zniszczyli kraj Inków, nigdy nie odnaleźli ich najcenniejszych skarbów. Zostały one ukryte. Te sznury i węzły określają wartości liczbowe tego skarbu i prawdopodobnie wskazują miejsce jego ukrycia!

Słuchaliśmy tych słów z niedowierzaniem. W pewnej chwili zauważyłem, że każdy pęk sznurów posiada jedną blaszkę. To były złote blaszki! Widniały na nich jakieś napisy: potem dopiero dowiedziałem się, że na jednej wyryto słowo „Dunajec" na drugiej słowo „Titicaca", a na trzeciej słowo „Vigo".

— W którym miejscu na zamku odnaleziono pojemnik? — pytam.

Pan Franciszek Szydlak, długoletni przewodnik po niedzickim zamku, przerwał na chwilę swoją opowieść.

— Proszę iść za mną — oznajmił.

Przez bramę wjazdową weszliśmy na niewielki dziedziniec zamku dolnego. Po kamiennych stopniach zaczęliśmy się wspinać do zamku średniego i zatrzymaliśmy się przed żelazną bramą. Pan Szydlak wyciągnął rękę:

— Pod tym kamiennym progiem leżał ołowiany pojemnik z pismem kipu! — rzekł.

Zaczynam być coraz bardziej natarczywy. Zadaję mojemu przewodnikowi dziesiątki najprzeróżniejszych pytań. Dlaczego największą tajemnicę Inków ukryto na zamku w Niedzicy? Kto tego dokonał i kiedy? Dlaczego właśnie pan Benesz trafił na ślad pojemnika?...

Pan Franciszek snuje egzotyczną opowieść. Nawet nie zauważyłem, kiedy słońce skryło się za górami. Moje myśli cofnęły się do czasów, kiedy na kontynencie amerykańskim, wśród niebotycznych Andów, w granicach dzisiejszego Peru i Boliwii, rozprzestrzeniało się wielkie i potężne państwo Inków.

„Biali bogowie" muszą zwyciężyć

To było naprawdę potężne państwo o wysokiej kulturze, doskonale zorganizowane. Do dziś drogi przebite wśród skalistych gór wzbudzają zachwyt inżynierów, a współcześni architekci stają zdumieni przed kamiennymi budowlami, które zostały wzniesione z wielkich bloków skalnych tak ściśle do siebie dopasowanych, że trudno zauważyć między nimi jakąkolwiek szczelinę. Zaprawy murarskiej Inkowie nie znali. Specjalnie zatrudnieni urzędnicy dogladali dróg, mostów, zajazdów pocztowych, śpichlerzy, które nigdy nie stały puste. Kwitła w państwie Inków gospodarka. Uprawa roli była obowiązkiem, któremu rok rocznie poddawał się także sam Wielki Inka, czyli Syn Słońca. Doskonale była zorganizowana armia. Mężczyźni, między dwudziestym piątym a pięćdziesiątym rokiem życia, ćwiczyli się w sztuce wojskowej, pod okiem oficerów. Armia Inków w krótkim czasie mogła zmobilizować do walki z wrogiem aż 200 tysięcy ludzi. Zachowały się opisy walk. Najpierw do natarcia ruszały oddziały miotaczy. Zadaniem tych wojsk było obrzucenie przeciwnika kamieniami. Za tymi oddziałami postępowali wojownicy uzbrojeni w maczugi i halabardy, dalej szły kolumny posługujące się w walce lancami, które wystrzeliwano tak jak z łuku.

A jednak ta zorganizowana armia została doszczętnie przez hiszpańskich ków, którymi Francisco Pizarro go?

Jedna z przyczyn ski Inków, było ne osłabienie te przez trwającą lat wojnę domową tali ją dwaj synowie Huayna Capa hualpa i Huascar. ska toczyły ze cie walki wy się wzajemnie.

Drugą, niemnie przyczyna klęsk wierzenia religijn śliwe układy n niebie wróżyły zw złe — klęski, któ dług wierzeń n było uniknąć. planet i znaki n tuż przed zjawie białych ludzi w T gladały bardzo z cy i wróżbici prze li klęski i nie które miały nast

I oto w roku Wielkiego Inki d słannicy z szokuj domością: wylądo cy obcy, biali, długimi brodami jący się dziwnym tami. Te dziwne to były konie, Huayna Capaca przerażenie. A w szedł czas klę upadku jego kra na niebie to przep ły! Huayna Cap pomniał sobie te

Szósta korespondencja red. Wiesławy Mroczek nadesłana z Północnego Atlantyku.

SZTORMY I MGŁY

8 maja

ATLANTYK, groźny Atlantyk przygotował nam niespodziankę. Wyglądało to tak, jakby czekał specjalnie, aż wyjdziemy: „Jantar" i holowane przez niego oba wraki — „ALGOSOO" i „KEYSHEY" — z Zatoki Św. Wawrzyńca i miniemy Cieśninę Cabota. (czyt. Kabota) Teraz właśnie zawył sztormem, powitał śnieżyca, która przez całą noc zalepiała okna sterowni.

Tyle, że „Jantar" przytrzymywany ciężką liną holu, nie skacze na rufę i dziób, a tylko głęboko kolebie się na burty. Za to dziób „ALGOSOO" wyskakuje przy dziewiątej fali w powietrze, by opaść z hukiem.

Na „ALGOSOO" zaokrętowani są czterej rannersi: drugi oficer — Julian Moskal, motorzysta — Henryk Rodziewicz i dwaj starsi marynarze — Tadeusz Siemiankiewicz i Wacław Świerczyński zwany „Kajtkiem".

Codziennie, o pewnych wyznaczonych godzinach, przy pomocy radiostacji porozumiewamy się z rannersami. Stąd wiemy dokładnie, co się tam dzieje. Oto lejce od głównego holu skręcają się niebezpiecznie. Grozi to przetarciem.

— Brakoroby! — grzmi, pod adresem wytwórni lin, kapitan.

„Brakoroby", to ci, którzy produkowali i kontrolą techniczną, która źle skręconą linę dopuściła do sprzedaży. Gdyby się teraz w sztormie zerwał hol... Dookoła płycizny. Długi „ALGOSOO" zniesiony na mieliznę mógłby się przewrócić. A na wraku ludzie...

Może przeczytają ten reportaż dzieci pracowników lin okrętowych i zawstydzą rodziców...

Wieczór i noc są dla wraka pełne grozy. Rannersi mieszkają w nadbudówce rufowej. W nadbudówce dziobowej natomiast znajduje się radiostacja. Wachtowi, żeby dostać się na dziób pełzną na czworakach po odkrytym pokładzie. Ręce chwytają zakrytych plandeką deków ładowni. Pordzewiałe i chwiejące się

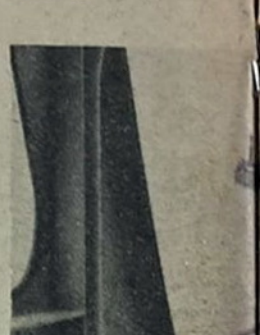

Holujemy... Pierwszy za „Jan gości „ALGOSOO".

ODYCH" płynie przez Atlantyk

relingi nie dają zabezpieczenia w czasie przechyłów. Radiostację przeniesiono na rufę, ale i tak w czasie wacht trzeba sprawdzać lejce, smarować łańcuchy...

Na domiar złego na „ALGOSOO" wysiadł agregat. Motorzysta — Henryk Rodziewicz, grzebie się w wnętrznościach maszy-

rem" ponad stumetrowej dłu- nim „KEYSHEY".

ny w czasie wolnym od wacht. Wrak oświetlają jedynie lampy naftowe. Ciemno i zimno, bo mają tam tylko plecyki elektryczne. A temperatura wody za burtą wynosi zero stopni.

Pod uderzeniem fali pordzewiały kadłub „ALGOSOO" ugina się jak z gumy.

— Przełamie się? — pyta „Kajtek" w czasie kolacji, którą na wraku spożywają we trzech, (czwarty na wachcie), i sam sobie odpowiada. — Mam przeczucie, że się przełamie...

„Kajtek" jest jednym z najbardziej doświadczonych rannersów w Polskim Ratownictwie Okrętowym. To jego czternasty rejs na wraku.

W nocy sztormujemy, posuwając się z prędkością pół węzła... A do Bilbao, dokąd mamy wraki zaholować... jeszcze ponad 3.000 mil...

9 maja

Rano przed messą czeka starszy marynarz Ryszard Sobczak przezwany przeze mnie „Jantarkiem".

— Tylko, nie próbuj znów chorować — przewraca groźnie oczami. — Już my ze Stachem znajdziemy na ciebie sposób!

— Zacznijcie szukać od zaraz, bo wam czasu nie starczy...

Nie kładę się. Chodzę tylko zła jak osa. To zresztą jeden z objawów morskiej choroby.

Obiad jemy trzymając talerze w ręku. Steward — Jasio Gąsiorek, zlewa obrusy wodą, żeby sztućce nie skakały, ale niewiele to pomaga.

— Kiedy miałem się żenić, spowiadał mnie pewien mnich — przerywa milczenie przy stole starszy mechanik pan Ryszard Ślęzak.

— Synu, a gdzie pracujesz — pyta na samym początku.

— A pływam — mówię zgodnie z prawdą.

— Jesteś marynarzem? E, to już nie mów mi nic, wszystkie grzechy są ci z góry odpuszczone...

— To musiał być bardzo mądry człowiek — ciągnie pan Ślęzak. — Może sam był w młodości marynarzem...

— Gdzie oni tak gnają? — przez okno pętry zagląda ochmistrz, pan Stanisław Klocko. — Co to, nie możecie tak statku wykierować, żeby nie kiwał... Jak po kartoflisku...

— Co to, wątą nas karmicie? — odpowiada tym samym tonem „Pierwszy" z pokładu, pan Janusz Zagrodzki. — Dajcie porządnego chleba do zupy...

Kanadyjski chleb, w jaki się „Jantar" zaopatrzył w Quebec skąd zabieraliśmy wraki, przypomina puchowe ciasto, tyle że nie słodkie.

— Patrzcie ludzie, kanadyjski chleb mu nie smakuje... Mnie zresztą też nie — dodaje ochmistrz pojednawczo. — Kucharz upiecze, gdy się sztorm uspokoi...

11 maja

Kapitan już dwie doby nie zmrużył oka. Sztorm ucichł wprawdzie, pozostała martwa fala. Ale gorsza od niej jest mgła. Nikną w białej gestwinie oba wraki. W nocy, na wachcie „Jantarków" wysiadł radar. Dopiero rano udało się go zreperować. Ta noc w ogóle była fatalna. Zdryfowało nas na zachodnią krawędź ławicy Nowofunlandzkiej. Panują tu bowiem bliżej nieokreślone prądy. Poza tym, przez tę mgłę nie mamy żadnych możliwości określenia naszej dokładnej pozycji.

Pan „Radio" odebrał komunikat, że właśnie w tym rejonie spływa góra lodowa... Na tej samej wysokości geograficznej, przed 56 laty rozegrała się wielka tragedia morska — statek pasażerski „Titanic" siadł na górę lodową i poszedł na dno.

Na górze, na pelengowym pokładzie, wyje buczek mglowy.

— Buuuuuu! Bu! Bu! — przerwa i znowu.

Długi, dwa krótkie — znaczy to, że idziemy z holem. I tak na okrągło. Przez dwie doby. Dobrze, że mieszkam na dole.

Wieczorem idę do sterowni.

— Pani, ledwo wytrzymać można tak nogi bolą — narzeka przy sterze

Cieśla Florjan Wenta „obkłada" drewnianymi klinami kanty nadbudówki na „KEYSHEY" żeby się hole nie przetarły.

Foto: autorki

pan Tadeusz Szymkowski, starszy marynarz, — niby sztormu nie ma, a kiwa.

— „Zmartwione" morze — mówi „Trzeci".

Kapitan szybkimi krokami przemierza sterownię. W tę i z powrotem. W tę i z powrotem. Czasem zatrzymuje się w otwartych drzwiach, by spojrzeć na wraki. Ale wraki giną w gęstej, nieprzeniknionej mgle.

Pełne przygód dzieje pana Sebastiana Berzevicza

Jest już zupełnie ciemno. Na niedzickim zamku panuje niczym nie zmącona cisza. W dolinie, w oknach góralskich chałup, błyskają światła. Pan Franciszek opowiada. Potrafi snuć opowieści. Ciągle jednak nie wiem, dlaczego pojemnik z wielką tajemnicą Inków znalazł się właśnie w Niedzicy?...

— To długa historia, ale bardzo podjonująca, niemal sensacyjna, jak w kryminalnym filmie — odpowiada wolno na moje pytania pan Franciszek.

...Ten zamek zbudowano w roku 1320. Dawno, bardzo dawno... Należał on do magnata węgierskiego Jana Berzeviczego. Ale nie ta data jest w tej historii najważniejsza. Sensacja zaczyna się w drugiej połowie XVIII wieku. Wtedy to właśnie jeden z potomków Berzeviczych, a mianowicie Sebastian, rozpoczął pełne przygód życie. Była to niespokojna, ale zarazem szlachetna dusza. Ponoć znaleźć go można było wszędzie tam, gdzie toczyła się walka. W swoich wędrowkach po świecie dotarł aż do Ameryki Południowej. Kraj Inków spodobał mu się i został tam na długo. Oglądał pewnie z podziwem resztki bogatej kultury Inków, poznał ich samych. Żyli przecież potomkowie wspaniałych wojowników...

Sebastian ożenił się wnet z inkaską księżniczką. Małżeństwu urodziła się córka, której dano na imię Umina.

Mijały lata. Nie wiadomo jakie one były. Szczęśliwe, czy może pełne wyrzeczeń? Dla Inków był to jednak okres dalszych upokorzeń. Grabieni, oszukiwani, zabijani, decydują się wreszcie na wielki zryw. W roku 1791 chwytają za broń i rozpoczynają powstanie pod wodzą Tupac Amaru. Walki trwały 3 lata i zakończyły się tragicznie. Tupac Amaru został stracony przez Hiszpanów.

Tymczasem Umina wyrosła na piękną dziewczynę. Wychodzi ona za mąż za bratanka ostatniego wodza Inków.

Jej małżonek jest tercz ostatnim pretendentem do tronu... Ale Hiszpanie dobrze o tym wiedzą. Pragną zgładzić męża Uminy, który również nosi imię Tupac Amaru. Plan ten jednak spalił na panewce. Umina wraz z mężem, swoim małym synkiem oraz ojcem Sebastianem Berzeviczym, uciekają do Europy. Towarzyszy rodzinie grupa dostojników inkaskich. Uciekinierzy zatrzymują się w Wenecji. Niedługo żyją jednak szczęśliwie. Hiszpanie odnajdują ich. Mąż Uminy — Tupac Amaru — zostaje nocą napadnięty i zasztyletowany. Wtedy Sebastian Berzevicz — obawiając się o życie swojej córki Uminy i wnuka, który jest teraz spadkobiercą skarbu i pretendentem do tronu Inków — uciekają z Wenecji i udają się właśnie do Niedzicy. Rzecz jasna, dostojnicy z dalekiego Peru towarzyszą im w czasie tej podróży.

Pan Franciszek przerywa na chwilę. Kontury starych murów wyglądają tajemniczo na tle czarnego nieba. Zaczynam rozumieć całą tę sensacyjną historię. Fakty zaczynają się zawiązywać w logiczny splot...

— Co było dalej? — pytam natarczywie.

Mściwa ręka Hiszpanów dosięgła uciekinierów i na tym niedostępnym zamku!... Była wtedy noc, taka sama jak dzisiaj. Na zamku wszyscy spali głębokim snem. Stary Sebastian Berzevicz był nieobecny, wyjechał. Wtedy na tym dziedzińcu, zamajaczyło kilka postaci. Przybysze skradali się cicho w stronę pokoju Uminy.

Zamachowcy pragnęli prawdopodobnie zgładzić Uminę oraz jej syna, który, jak wiadomo, miał dziedziczyć tron. Plan nie został jednak w pełni wykonany. Przybysze zgładzili Uminę, ale syn — Antonio Tupac Amaru — ocalał.

Rada Emisariuszy Inków spisuje testament

Kiedy stary Sebastian Berzevicz wrócił na zamek zastał obraz zniszczenia. Za wszelką cenę zapragnął on uratować swojego wnuka. Dlatego decyduje się na ostateczny krok. Chcąc zatrzeć ślady po wnuku, proponuje swoim krewnym zamieszkałym na Węgrzech, ażeby zaadoptowali syna jego córki i umieścili go w bezpiecznym miejscu. Akt adopcji zostaje spisany na zamku niedzickim dnia 21 czerwca 1797 r. W ceremonii tej

C. D. na str. 7

KODEKS W MODZIE

Za parę tygodni w Szwecji wprowadzony zostanie prawostronny ruch kołowy na jezdniach. Kampania przygotowań do zmiany wszystkich znaków drogowych trwa tam już od kilku miesięcy, a jej odbicie znalazło wyraz nawet w dziedzinie mody. Zainteresowanie sprawami kodeksu drogowego i oznakowania szos podchwycił jeden z młodzieżowych domów mody, ozdabiając sportowe bluzki i swetry/ki aplikacjami w kształcie znaków drogowych. Można to uznać za dowcipną formę popularyzacji przepisów ruchu...

Foto CAF

Gang z ulicy Brzeskiej

19

STANISŁAWA PLATÓWNA

Rozdział XIII

Sytuacja się komplikuje...

GDYBY mi ktoś przed miesiącem powiedział, że przez własną głupotę wpadnę w takie tarapaty, że będę postępował wbrew własnej woli i przekonaniom — roześmiałbym mu się w nos. Nigdy nie przypuszczałem, że mogę znaleźć się w sytuacji, w której będę musiał robić i mówić coś, na co nie mam ochoty, co mi zdecydowanie nie odpowiada. Sądziłem dotychczas, że człowiek sam sobie układa życie i żyje tak, jak mu się podoba. Ostatnie tygodnie nauczyły mnie, że nie zawsze tak bywa. Co prawda pierwszy krok zrobiłem z własnej woli. Sam wybrałem sobie towarzystwo, sam chciałem zaznajomić się z Ewą i z chłopcami z podwórza. To, co zaszło później, to już tylko konsekwencje tej pierwszej decyzji.

Teraz za późno, aby się wycofać. Po prostu odejść — nie pozwolą mi. Boją się, że ich wsypię. A właściwie nie mogę tego zrobić. Wpakowałbym Ewę i siebie w takie tarapaty, że na samą myśl robi mi się zimno. A najgorsze, że nie ma nikogo, kto by mi poradził, pomógł. Ojciec wyjechał, mamie nie przyznałbym się za nic, ciotka Irena jeszcze nie wróciła z urlopu. Strasznie mi głupio i ciężko. Tym bardziej, że teraz chodzi nie tylko o mnie. Boję się o Ewę... A jednak miałem rację. To w gruncie rzeczy dobra dziewczyna. Miała tylko pecha. Gdyby nie zaprzyjaźniła się z Szefem i jego paczką, na pewno jej życie ułożyłoby się inaczej.

Najgorzej martwi mnie teczka, która wciąż jeszcze leży ukryta w starej walizce na pawlaczu. Pytałem Szefa już kilkakrotnie, kiedy ją zabierze, a on za każdym razem odpowiadał, że jeszcze nie pora. Cierpnę cały, kiedy mama rzuca okiem na pawlacz. Na szczęście zimowe rzeczy już dawno schowane i przesypane naftaliną i nie ma żadnego powodu, aby tam zaglądać. Ale kiedyś mama szukała cieplejszego swetra i nie mogła znaleźć.

— Zdaje się, że ten niebieski pulower schowałam do walizki — powiedziała.

Zdrętwiałem. A potem długo tłumaczyłem mamie, że nie warto na parę dni wyciągać swetra, że zanim wywietrzeje z zapachu naftaliny, już znowu będzie ciepło. I na szczęście mama zrezygnowała z grzebania w walizkach. Po tej rozmowie byłem mokry jak po kąpieli. Jeśli to dłużej potrwa, wyniosę po prostu teczkę i wrzucę do Odry. Nie wiem tylko, czy uda mi się wyjść niepostrzeżenie. Wyg'ąda na to, że oni mnie pilnują. Nie mogę zrobić kroku, żeby natychmiast nie zjawił się ktoś z paczki.

A Szef po prostu żyć beze mnie nie może! Każdego dnia, po wyjściu mamy słyszę trzykrotny krótki gwizd. To sygnał dla mnie, oznacza, że mam zejść na podwórze. Co robić, schodzę, idę z nimi do miasta, wysiaduję po parkach, udaję, że mnie bawią ich rozmowy i żarty. Parę razy chciałem powiedzieć, że nudzą mnie i drażnią wieczne takie same uwagi o dziewczętach, głupie zaczepki i dowcipy, ordynarne słowa, którymi szafują przy każdej okazji. Ale skończyło się na chceniu. Nie wiem dlaczego, w towarzystwie „kozaków" czuję się głupio skrępowany. Nie potrafię tak postępować jak oni i nie potrafię też zaprotestować przeciwko ich zachowaniu. Więc milczę, choć nieraz diabli mnie biorą!

Dlaczego tak się dzieje? Przecież nie jestem tchórzem, nieraz biłem się z kolegami, czasem oberwałem potężnie i tydzień chodziłem z podbitym okiem. Wielka historia! Co prawda byłbym sam, ich jest siedmiu... Ale wydaje mi się, że to nie strach zamyka mi usta. Ja się po prostu wstydzę. A jeśli się boję to nie awantury czy bójki, boję się, że mnie wyśmieją, że mnie zniszczą samymi tylko kpinami i docinkami. Szef jest mistrzem w takich sprawach. Jest diabelnie inteligentny i potrafi człowieka w kozi róg zapędzić tym swoim drwiącym uśmieszkiem i słowami cedzonymi przez zęby.

Z początku nie brałem prawie udziału w rozmowach. Ale widać to ich drażniło. Czuli, że za moim milczeniem kryje się potępienie. Zaczęli zwracać się wprost do mnie, pytać o zdanie, wciągali do rozmowy. Nie mogłem siedzieć jak pień, musiałem odpowiadać. W końcu nie jestem maminsynkiem i świętoszkiem, niech nie myślą, że mogą wodzić mnie za nos!

Kiedy pierwszy raz rzuciłem jakąś uwagę w ich stylu na widok przechodzących dziewcząt, Ewa spojrzała na mnie ze zdumieniem. Ona też sądziła, że to nie moja specjalność, że „brzydkie słowa" nie przeszłyby mi przez gardło. Przeszły, przeszły nawet całkiem gładko. Tylko za pierwszym razem poczułem, że się czerwienię, potem poszło już łatwiej. Naprawdę nie rozumiem, dlaczego to robię? Przecież wcale nie jest mi przyjemnie siedzieć z tymi głuptasami, którzy o niczym ludzkim nie potrafią rozmawiać, interesują się tylko swoimi ciemnymi sprawkami, podrywaniem dziewcząt i robieniem durnych kawałów. Kiedyś na przykład całe popołudnie spędziliśmy w parku Szczytnickim. Ktoś może by pomyślał, że opalaliśmy się, grali w piłkę albo po prostu spacerowali? Nic z tych rzeczy. „Kozacy" wymyślili szałowa zabawę — podpalanie śmieci w koszach. No i co w tym zabawnego? A ich to bawiło.

Nie mogę zrozumieć tych chłopaków. Taki Ślusarz na przykład. Zachowuje się tak, jakby go cały świat drażnił. Nie przejdzie obok kamienia, żeby go nie kopnąć, obok drzewka, żeby nie ułamać gałązki, obok dziecka, żeby go nie szturchnąć. I co mu z tego przyjdzie?

Rys. St. Rozwadowski

Kiedyś zawędrowaliśmy aż na ulicę Nowowiejską. Jest tam niewielki park ze stawem, a na nim łabędzie. Podeszliśmy z Ewą i Lampą na sam brzeg, jeden łabędź wyszedł z wody i, kołysząc się na krótkich łapach, podszedł do nas. Lampa miał w kieszeni kawałek bułki, kruszył ją i rzucał ptakowi. Nagle odezwał się Ślusarz:

— Nafaszerowałbym bułkę talem, ciekawe, czy by zdechł?

— My mamy w domu tal — wtrącił się Zaskroniec — można by spróbować.

— Po co — zdumiałem się — co wam z tego przyjdzie?

Chłopcy spojrzeli po sobie, wzruszyli ramionami.

— A tak sobie — powiedział Ślusarz — taki duży ptak ma pewno silniejszy żołądek niż szczur.

Zamilkłem. Co miałem mówić? Tłumaczyć, że to barbarzyństwo otruć bezbronnego ptaka, że łabędzie upiększają nasze parki, że ludzie przychodzą tu specjalnie popatrzeć na nie i cieszyć się, że są takie piękne i białe? Komu to tłumaczyć? Ślusarzowi, który raz już o mało nie zabił człowieka, a w każdym razie pokaleczył tak, że biedak leżał w szpitalu? Czy Saksofonowi, który na wszystko ma jedną odpowiedź: „mam te w..." Zresztą oni wszyscy są jednakowi. Tylko Lampa i Zaskroniec wydają mi się lepsi, wyglądają na to, że wpadli jak śliwki w kompot i teraz nie mają odwrotu.

Jaki człowiek jest jednak dziwny! Sam nigdy w życiu nie zrobiłbym krzywdy żadnemu zwierzęciu, ale patrzyłem spokojnie, jak Orczyk strzela z procy do gołębi i nie protestowałem. Strzela, to strzela, jego proca — jego sprawa. A kiedy wreszcie trafił jednego i biedny ptak leżał zakrwawiony na bruku i trzepotał rozpaczliwie przetraconym skrzydłem, odwróciłem głowę, ale nie powiedziałem ani słowa. A trzeba było odebrać Orczykowi procę i dać mu porządnie w zęby! Albo kiedy chłopcy wyprawili się na skwer koło województwa i w mgnieniu oka zrujnowali kwietniki i klomby, stałem jak cielę i tylko rozgladałem się, czy ktoś nie idzie. Gorzej! Kiedy Szef spytał:

— A ty, Elegancki, nie ofiarujesz bukietu Ewuni? Taki z ciebie dżentelmen?

Zamiast powiedzieć mu coś do słuchu, zerwałem trzy gałązki i wręczyłem Ewie. I nawet nie bardzo było mi wstyd, bo Ewa uśmiechnęła się i tak mi dziękowała, jakbym jej ofiarował całą kwiaciarnię.

Do diabła, sam nie wiem, co się ze mną dzieje! Przecież jeszcze nie tak dawno byłem całkiem inny. Nie powiem, żebym prowadził się wzorowo, miałem niejedno na sumieniu, ale to były zupełnie inne sprawy, drobiazgi w porównaniu z moimi obecnymi kłopotami. Czasem urwałem się z domu i poleciałem z kolegami, chociaż mama nie pozwoliła, czasem zelgałem coś, czasem udałem, że zapomniałem oddać resztę albo, że zgubiłem. A teraz... szkoda słów!

Jednak chyba jestem tchórzem! Teraz rozumiem, że odważnym jest nie tylko ten, kto nie boi się niebezpieczeństwa, bólu, walki. Tego nigdy się nie bałem. Ani głęboka woda, ani strome zbocze, ani przepaść pod nogami nie wywoływały u mnie uczucia strachu. Kiedy mi zdejmowali paznokieć, nie pisnąłem nawet, choć ból był okropny. To jest jeden rodzaj odwagi, chyba łatwiejszy.

O wiele trudniej, sam się o tym przekonałem, jest wytrwać w swoich zapatrywaniach, nie zwracać uwagi na drwiny i śmiechy, robić swoje wbrew wszystkiemu i wszystkim. A ja tego właśnie nie potrafię. Boję się stracić opinię „równego faceta" i nie tylko nie potępiam tego, co mi się nie podoba, ale postępuję tak, jakbym chciał przypodobać się Szefowi i jego „kozakom".

Cdn.

U PIONIERÓW NAD DUNAJEM

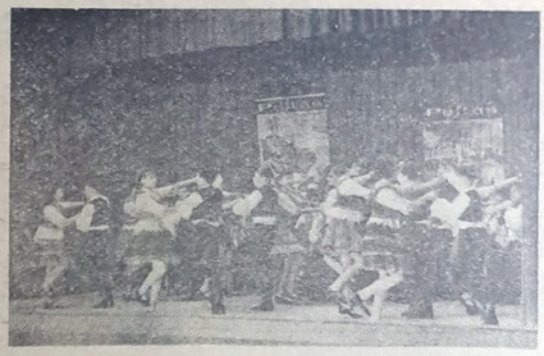

Oto kilka migawek z życia pionierów węgierskich, przygotowanych dla was przez zastępcę redaktora naczelnego „Pajtasa" — **Tibora Nemetha.**

Laci Karamosa, pioniera z miejscowości Aranyosapati, spotkało ogromne nieszczęście. Jedna noga została sparaliżowana i chłopiec musiał pójść na długie leczenie do szpitala. Pod koniec leczenia ktoś z drużyny rzucił projekt, by wracającemu koledze wręczyć rower. Pomysł spodobał się wszystkim i rzeczywiście ze składek pionierów kupiono Laci piękną „damkę".

Na zdjęciu drużyna pionierska czeka z pięknym prezentem na swego przyjaciela.

Wiosną tego roku na skutek ulewnych deszczy wystąpiły z brzegów rzeki we wschodnich Węgrzech. W okolicach Tiszy i Körösök przez wiele tygodni ludzie walczyli z rozszalałym żywiołem. Do walki tej przyłączyli się również pionierzy i na równi z dorosłymi wzięli udział w akcji przeciwpowodziowej. Pionierzy z Tunyogmatoles, których widzicie na zdjęciu, szczególnie wyróżnili się w walce z żywiołem.

Stało się już na Węgrzech tradycją, że każdego roku pionierzy biorą w swe posiadanie na jeden dzień gmach parlamentu. W tym dniu w dostojnych, poważnych salach rozlega się gwar i śmiech. Główną atrakcją są popisy artystyczne najlepszych zespołów pionierskich z całych Węgier.

Podobnie jak harcerze, węgierscy pionierzy solidaryzują się z dziećmi z walczącego Wietnamu. Odbywają się również specjalne zbiórki poświęcone walce przyjaciół z dalekiego kraju. W wielu drużynach, dziewczęta i chłopcy wykonują piękne modele zagród, egzotycznych drzew, zwierząt, chcąc w ten sposób wyrazić sympatię wietnamskim pionierom i lepiej poznać ich kraj.

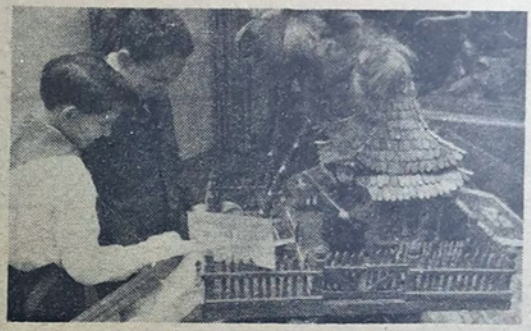

TAJEMNICA

Dokończenie ze str. 5

uczestniczy w komplecie „Rada Emisariuszy Intów". Dostojnicy kładą swoje podpisy pod tym iktem. Równocześnie spiany zostaje ważny testament, który ma być ujawniony synowi Tupac Amaru z chwilą uzyskania przez niego pełnoletności. W tym dniu chłopak miał się dowiedzieć, kim właściwie jest, mógł też rozporządzać testamentem, który został schowany w zakamarkach niedzickiego zamku. Wskazówki, gdzie szukać testamentu, zaszyfrowane zostały w akcie adopcji który złożono do archiwum kościoła Św. Krzyża w Krakowie.

Teraz prawowity władca Inków, mały Antonio Tupac Amaru, zabrany zostaje z Niedzicy na Morawy. Jego rodzina jest kuzynostwo Sebastiana Berzevicza — małżeństwo Wacław i Anna Beneszowie. Sam Antonio zostaje wpisany do akt parafialnych jako... Wacław Benesz. Ślad po kandydacie do tronu Inków zostaje zatarty...

Co było dalej? Wacław Benesz (prawdziwe nazwisko Antonio Tupac Amaru) wyrósł na przystojnego mężczyznę, ożenił się z Polką, miał dwóch synów. O tytułach zapomniał, nie chciał o nich słyszeć. Testamentu też nie próbował odszukać. Dopiero w roku 1946 — pan Andrzej Benesz — odszukał najpierw akt adopcji w Kościele Św. Krzyża i według wskazówek w nim zawartych dotarł do Niedzicy — pod próg żelaznej bramy! Tu znalazł tajemniczy pojemnik z pismem kipu! To był testament! Wybuchła wielka sensacja! Dzieje rodu Berzeviczów odżyły na nowo... Szkoda tylko, że pisma kipu nie można rozszyfrować! Hiszpanie wywieźli z kraju Inków tony złota, ale największego ich skarbu — skarbu Syna Słońca nie odnaleźli. Nikt nie wpadł na jego trop do dzisiaj! A wskazówki gdzie go szukać zawarte są prawdopodobnie w węzełkach na pękach sznurów!

Gdzie jest ukryty wielki skarb?

Pan Franciszek Szydlak, który długo wywodził się nad historią ukrycia testamentu Inków — jest zdania, że legendarny skarb peruwiańskich Indian zostanie odnaleziony. Według niego, należy szukać miejsca, które wymieniono na złotych blaszkach, doczepionych do pęków sznurów. A mianowicie: w jeziorze Titicaca, w zatoce Vigo i wreszcie w Niedzicy, bowiem słowo „Dunajec" na jednej z blaszek oznacza zamek, który w przeszłości tak właśnie się nazywał. Tylko, że niedzicki zamek postawiony na wielkiej wapiennej skale, ma niezliczoną ilość zakamarków. Skarb można było też ukryć poza zamkiem, gdzieś w okolicznych skałach. Szanse natrafienia na jego ślad są bardzo mizerne. A może skarbu Inków w ogóle w Niedzicy nie ma?... Blaszka może mieć przecież zupełnie inne znaczenie. Sprawę wyjaśniają węzełki, ale któż potrafi je rozszyfrować?

Poszedłem spać z głową nabitą historią i legendą, a następnego dnia zapukałem do drzwi pani magister Janiny Kalinowskiej, która jest kustoszem w Niedzicy, znanym historykiem sztuki.

— Znam doskonale całą tę historię—mówi pani mgr Kalinowska. — Nie oglądałam wprawdzie ołowianego pojemnika z pismem kipu, ale wszystko to, co opowiedział już panu Franciszek, jest prawdą historyczną. Nie znaczy to jednak, że fakty dotyczące rodziny Berzeviczów przyjmuję bezkrytycznie. Mówi się na przykład, że Umina została pochowana w krypcie zamkowej w srebrnej trumnie, ale niestety, trumny tej nie znaleziono. Nie odszukano też nigdy żadnych śladów świadczących, że na zamku przebywała Rada Emisariuszy Inków. Wydaje nam się, że Indianie powinni po sobie zostawić jakieś przedmioty osobistego użytku.

I wreszcie, czy gdzieś tutaj w zamku może być ukryta część skarbu Inków? Nie wiem — być może, iż ten skarb, gdzieś tkwi. Niestety — nikt nigdy nie wpadł na jego trop i nikt chyba nie wpadnie, gdyż pismo kipu nie zdoła już nikt odczytać. Pismo to wyrażało przede wszystkim pewne ilości, poza tym sznurki powinny być kolorowe, a opowiadają, że były one wszystkie szare. Tak przynajmniej twierdzi pan Franciszek, który je widział.

Cóż jeszcze mogę dodać: Nigdy nie rozmawiałam z panem Andrzejem Beneszem, który osobiście dokonał odkrycia i pierwszy dotarł do dokumentów złożonych w kościele Św. Krzyża w Krakowie. Gdybym wszystkie te dokumenty zobaczyła na własne oczy, prawdopodobnie wyciągnęłabym jakieś nowe wnioski. Zresztą, może się jeszcze zetknę z panem Beneszem. Uczyniłam już w tej sprawie pewne kroki. Przecież ta historia jest tak sensacyjna, że warto nad nią postawić przysłowiową kropkę. Chociaż niedopowiedzenia mają też swoje dobre strony. Można sobie pozwalać na snucie dziwnych refleksji a to przecież piękne zajęcie.

Starym urwiskiem schodzę z wapiennej skały, na której wznosi się zamek. Myślę sobie, że historia skarbu Inków doczeka się może swojego rozwiązania.

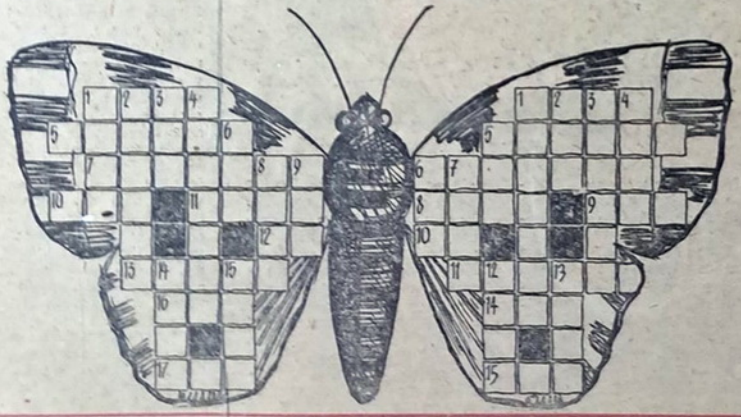

KRZYŻÓWKA

LEWE SKRZYDŁO. Poziomo: 1 — rodzaj stołu w sklepie; 5 — mała fortyfikacja, bal maskowy; 7 — gatunek marchwi (zdrobniałe); 10 — odgłos bicia dzwonu lub zegara; 11 — zjawa senna, widziadło; 12 — miara powierzchni = 100 m^2; 13 — inaczej krzew; 16 — ptak, zamieszkuje stepy Australii i Tasmanii; 17 — dowódca turecki w dawnym wojsku.

Pionowo: 1 — inaczej lekarstwa; 2 — imię chłopca (zdrobniałe); 3 — inaczej tytus, gama złożona z dwóch całych tonów; 4 — teoria, że materia składa się z maleńkich, oddzielnych cząstek atomu; 6 — tak mówią niektórzy na Beatę; 8 — legendarny założyciel Krakowa; 9 — lewy, najdłuższy dopływ Renu w Szwajcarii; 14 — obszar wodny przed portem, na którym statki zarzucają kotwicę; 15 — sala wykładowa na wyższej uczelni.

PRAWE SKRZYDŁO. Poziomo: 1 — rzeka w Jugosławii; 5 — kawał drewna na opał; 6 — wróg, który zajął cudzy kraj; 8 — najmniejsza cząstka filmu, obraz filmowy; 9 — podarunek; 10 — jednostka miary oporu elektrycznego; 11 — obchodzi imieniny 19 lutego; 14 — miasto położone na jednej z wysp u wybrzeża Syrii; 15 — motyl nocny.

Pionowo: 1 — najwyższy głos kobiecy (I. przyp. l. m.); 2 — imię żeńskie (zdrobniałe); 3 — bezmyślny niszczyciel; 4 — kolumna wysunięta z muru; 5 — dawna miara wagi w Rosji; 6 — część twarzy; 7 — dopływ Wołgi; 12 — pierwiastek chemiczny, żywe srebro, jest w termometrze; 13 — praca rolnika.

Rozwiązania należy przesyłać w terminie dziesięciodniowym od daty ukazania się numeru z dopiskiem na kopercie lub karcie pocztowej: „Spróbuj rozwiązać".

Za trafne odpowiedzi będą rozlosowane nagrody książkowe.

Uwaga! Redakcja nie odpisuje na listy zawierające tylko rozwiązania rozrywek umysłowych.

„ŚWIAT MŁODYCH" — GAZETA HARCERSKA — ukazuje się we wtorki i piątki. Redaguje zespół. Red. nacz. JANUSZ DOMAGALIK, tel. 21-15-61. Sekretarz redakcji — 28-77-21. Wydawnictwo „PRASA MŁODZIEŻOWA" RSW „Prasa". Warszawa ul. Bagatela 14. Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa". Warszawa, ul. Marszałkowska Zam. 1087 T-45